

Od razu, kiedy go rozpoznałam, wiedziałam, że będę musiała przejść nad tym do porządku dziennego, przejść nad jego porządkiem. Wydobyć się jakoś z chaosu powtarzalnych sekwencji, wydostać się z jego mieszkania pełnego kubków i szklanek ustawionych uchem w jedną stronę, jakby nasłuch miały lepszy z prawej. Mieszkania pełnego sald i zestawień ułożonych jedno na drugim, pokrywających się wzajemnie co do milimetra, jakby odwzorowywały moje najcieńsze pragnienie. Mieszkania butów w żołnierskim szyku, gotowych do marszu, pilnie czuwających pod drzwiami na właściciela.

Musiałam wyjść z sypialni niepostrzeżenie, uważając, by nie naruszyć pościeli poskładanej w kant, położonej w rogu łóżka jak znaczek pocztowy na czystej kopercie. Nadawcy nie zastano pod wskazanym adresem. Byłam pewna, że wystarczy mi tylko postawić stopy na tych klepkach, które nie trzeszczały, nie wydawały z siebie dźwięku pękających nadgarstków, które łamałam sobie codziennie, głowiąc się, czy warto to wszystko w takim stylu, czy warto spłynąć stąd, gdy nie spływało po mnie.

Kawa z określoną ilością pianki na blacie w kuchni. Wyobrażałam sobie, że dodaję mu piany z płynu do mycia naczyń i zmuszam go do pomstowania na mnie przez pół dnia. Czy byłby to pretekst – słaby, ale zawsze jakiś. Nie nauczyłam się jeszcze wściekać się na niego, gdy mnie nie wściekał. Irytował go mój spokój i nieład.

Nie przewidziałam, że w korytarzu czai się jego kot, najgłodniejszy kot na świecie, któremu nie mogłam przecież odmówić. Spodek był wyczyszczony do zera, w spiżarni ułożone kolorami, od największej do najmniejszej, jak karty do gry w wojnę, wołały do mnie saszetki: otwórz, otwórz mnie. Wyciągałam którąś z samego środka. Rozrywałam: dobywał się smród kociej mielonki, tuńczyk z kurczakiem – jak można coś takiego jeść? Kotu nie jest wszystko jedno, a jednak w kwestii jedzenia potrafił zjeść coś, czego w życiu bym nie przełknęła.

Rzucał się kot na to jedzenie, mlaskał, żarł to. Nie to, żebym go nie znosiła. W końcu był to ulubiony – i jedyny – kot w tym domu. No ale jak to powiedzieć o kocie, że jadł, gdy we mnie takie dziwne, złe emocje? Mogłabym powiedzieć, że wsuwał – ale to ocierało się o pewną dozę troski, a wcale tego w tamtym momencie nie czułam. Więc nie, nie nienawidziłam kota – kochałam go, jakby był najlepszym dzieckiem, na jakie było mnie stać – ale "żarł" wpasowało się w obserwowane zdarzenia.

Skupił się więc kot na swoim kocim żarciu i myślałam już, że mogę w spokoju odejść, ale wzrok wtedy padał na zlew pełen talerzy i kieliszków z poprzedniego wieczoru. Znów działałam: podkasywałam rękawy, łałam hektolitry prawie że wrzółku, łałam hektolitry płynu cytrynowego, żeby tylko oddzielić od nosa smród resztek, żeby pozwolić im odejść, spłynąć mi z oczu. Szorowałam to potem gąbką, bo nikt nie wpadł na to, by kupić druciak, i wstrzymywałam oddech na wszelki wypadek, a całość robiła się czysta wedle życzenia.

I znowu mój wzrok padał wtedy na stertę: a to ubrań, które trzeba ułożyć jak znaczki, i tych, które trzeba włożyć do kosza; a to śmieci w nieładzie, z których należało wydobyć ład, dać im szansę na nowe życie w kubłach papier-szkło-sztuczne. Wyrываłam sobie włosy i wrzucałam do sztucznych. Gryzłam paznokcie i wrzucałam sobie.

Zdążyły już przejechać ciągnik, śmieciarka i kilka zwykłych aut; zdążyło przebiec parę psów i ich właścicieli, parę dzieci i ich właścicieli, i parę bezpańskich osób. Widziałam, jak wpatrują się we mnie wszy-

scy, więc udawałam, że nie widzę – tak było mi łatwiej pozować nago w obiektywach ich spojrzeń, odkryta i niełatwa do przeoczenia jak kolorowy gupik w za dużym akwarium. Już oczy miałam rybko wytrzeszczone, już skrzela bolały mnie od tego obcego powietrza; trzymałam usta na wodzy, aby ich nie wydać w przypiływie lub odpływie.

Zdawało się, że straciłam mnóstwo czasu. Ale słońce nadal rozpalało kuchnię w tym samym punkcie, wciąż oślepiało mnie z tej samej strony. Zmuszało, żebym zaraz pozbyła się tego wytrzeszczu, gnębiło mnie wręcz jak policjant-służbista zatrzymujący cię w środku nocy i świecący latarką po gałach.

Nie jadłam nic, bo lodówka ciamkała przy każdym jej otwarciu – nie wiedziałam, gdzie on jest, nie chciałam go przywoływać, fatygować go tutaj. Znalazłby przecież tysiąc innych spraw, które trzeba uporządkować. Ani kawy, ani herbaty, ani szklanki wody nawet, nic – ślaniałam się na nogach, dom kołysał się i byłam przekonana, że jeśli nie on, to ja zaraz utonę, zapadnę się pod ziemię, zapadnę się w sobie. Wszystkie błędy wtedy unaoczniały się jak węgielki położone na śniegu: były wyraziste, płonęły bez ognia. Parzyło, gdy przywoływałam je na myśl, zbijało mnie.

Mościłam się na kanapie z książką, spijając każde słowo, jakby miało wagę większą, niż zaplanował autor. Chciałam, żeby kartki wbijały mi się pod paznokcie, żeby oślepiająca biel stron i mrówcza czerń liter wdrukowywały się tak, bym widziała zdania po opuszczeniu powiek, po opuszczeniu tego miejsca. Żeby mnie gryzły, wpuszczały jad na długo po tym, jak zostawię ten dom, oddalę się do miejsca, w którym będę słyszała warkot sąsiadów częściej niż warkot zwierzyny.

Chciałam go za wszelką cenę wytrącić tak, jak wytrąca się osad na lekcjach chemii, gdy wciskają ci narzędzia, z którymi nie wiesz, co zrobić, a stara chemiczka patrzy na ciebie przez grube jak dna duraleksowych szklanek okulary, wlepia w ciebie ślepią jak wąż. I syczy, syczy jak węgiel zatapiający w śniegu.

Ale tutaj musiałam sama się pilnować: nie było zwiędłej chemiczki, nie było próbek i innych chemicznych dupereli. Inne zaś butelki mrugały do mnie opalizująco z półek spiżarni, kusząc tak jak karma kusi kota. Słońce powoli przesunęło się na drugi kraniec domu, zostawiając nas w cieniu własnych żali, pobudek i słabości.

I wtedy czułam, że nie muszę nic wcale, tylko sięgnąć po jedną, odkorkować i przywitać się jak ze starym druhem. Pociągnąć z niej jak ze wszystkich mężczyzn, którzy za mną nie biegali. Mieć chociaż raz w rękę władzę i moc odstawić na własne życzenie. Lecz wiedziałam, że zamknęłabym się w tej butelce jak stateczek, tania kopia tego domu. Dlatego częściej wpuszczałam dym i pojawiało się poczucie niedopełnienia. Niedopisania. Nie potrafiłam się wypisać, gdy sięgałam po długopis i kreśliłam po marginesach tych książek, z których mrówki nie chciały wymaszerować. Pstrykałam długopisem jak palcami, celowałam nim w ściany i dobijałam żuczki, pajaczki, gąsienice. Obiecywał mi, że się nimi zajmie; tak panicznie uciekałam przed robactwem, wierząc, że są zdaniem wypełzającymi z tych stron, których nie zdążyłam lub nie chciałam zdążyć przeczytać.

Miał na imię Stan i chciałam go wytrącić, ale w końcu siadł mi błędnik. Z poziomu podłogi usłyszałam tylko, jak wyszedł. Nie udało mi się wrócić do siebie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ks-hp, dodano 06.04.2020 17:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.